

# Rozmyślania plażowicza

26 czerwca 2017

Dawno, dawno temu, po jakichś wakacjach dyskutowaliśmy z kolegami na temat wypadków, jakim można ulec korzystając z wakacyjnych okazji do kąpieli. Rozjeżdżaliśmy się wtedy znad morza w różne strony Polski i po powrocie, jako zapaleni miłośnicy sportów pływackich porównywaliśmy morze do innych akwenów i ich możliwości także w aspekcie bezpiecznych kąpieli.



Z naszych rozmów wynikało, że nasz Bałtyk jest w sumie najbezpieczniejszym zbiornikiem wodnym dla kąpiącego się, oczywiście pod kilkoma warunkami.

Po pierwsze trzeba umieć pływać, to oczywiste. Po drugie wie się, a wiedzę tę nabywa się z czasem niemal automatycznie, że z wodą nie ma co walczyć. Najszybciej tonie osoba, która przestraszywszy się zaczyna bezładną szarpaninę sądząc, że potrafi zwyciężyć żywioł jakim jest woda.

Nasze doświadczenia mówiły, że wodzie należy się poddawać. Pozornie. Poruszająca się woda fali morskiej to dziesiątki i setki ton, z którymi nic nie zwojuje nie tylko człowiek, ale i teoretycznie przystosowane do tego konstrukcje.

Należy dać się nieść wodzie jednocześnie uważnie ją obserwując. Po krótkim czasie zauważymy pewne prawidłowości w jej zachowaniu, które będziemy mogli z pożytkiem dla siebie wykorzystać. Np. to, że kiedy nie bronimy się przed opadaniem w dół, po chwili ta sama woda wynosi nas w górę. Kwestia tylko w odpowiednim wstrzymaniu oddechu, ale to jest to wyćwiczenia.

Ktoś kto zaufa wodzie szybko opanuje sztukę czytania gazety na jej powierzchni. Leżąc w odpowiedniej pozycji będziemy niesieni przez wodę bez żadnych specjalnych starań z naszej strony, a trzymana w obu rękach rozłożona gazeta ledwo się zamoczy. To prawda, ale trudno do niej przekonać kogoś kto „z natury” uważa wodę za wrogi żywioł.

Oczywiście są różnice i to one nas głównie zajmowały po wakacjach.

Najbardziej „nośna” jest woda morska, najmniej – woda jeziora. Nie jestem fachowcem, ale to pewnie kwestia jej „gęstości” i samej siły ruchu. Woda w jeziorze na ogół „stoi”, a więc nie ma siły, którą moglibyśmy wykorzystać dla siebie. Morze bez przerwy się porusza i to z niezwykłą siłą, jest więc automatycznie najłatwiejsze do wykorzystania.

Kiedy już to wiemy zaczynamy w nim poruszać się powoli, bez pośpiechu i nagle okazuje się, że może nam być ono przyjazne. Lekkie, niemal niezauważalne ruchy ciała kierują nas tam gdzie chcemy, a woda pomaga nam w tym z całych, niemałych w końcu sił.

Dlatego nasze kąpiele często przypominały bardziej zabawy w wannie, niż jakieś pływackie wyczyny basenowe, choć dystans Orłowo – Sopot bywał czasem przemierzany ot tak, dla rozrywki i przyjrzenia się plażowiczom na różnych odcinkach trasy nie mówiąc już o łodach w kawiarni „Meduza” charakteryzującej się w tym czasie drzewem rosnącym w środku i wystającym poprzez dach na zewnątrz.

Radosne taplanie się w wodzie z pełnym poczuciem

bezpieczeństwa bywało urozmaicane skokami z orłowskiego mola, nie zawsze bezinteresownymi.

Wielu turystów stojąc na końcu pomostu wrzucało do wody drobne monety „na pamiątkę”. Nic prostszego – skaczemy, wyławiamy i – idziemy na lody za wyłowione pieniądze.

Byliśmy atrakcją turystyczną, jednocześnie konstatując, jak mało „szczury lądowe” rozumieją z wodnych spraw.

– Ojej, jak tu głęboko, ja bym się bał tu skakać – słyszeliśmy niejedną raz.

I weź tu człowieku tłumacz takiemu, że skaczemy bez obaw właśnie dlatego, że tu jest głęboko!

Od lustra wody do poręczy mola było jakieś 5 – 6 m. Z takiej wysokości nie skacze się przecież do płytkiej wody, bo to niemal pewne zarycie w dnie, a bywa, że i gorzej. Wypadek niemal gotowy.

Woda w tym miejscu miała ok. 5 m głębokości, a więc rzadko udawało się „prosto ze skoku” osiągnąć dna, tym bardziej, że po locie w powietrzu nagle spotykaliśmy się z falą, która korygowała kierunek naszego poruszania się. Fala jest wbrew temu co się widzi, ruchem pionowym wody, więc trzeba to wziąć pod uwagę chcąc dopłynąć do dna. Na ogół potrzebne były pod wodą jeszcze dwa – trzy silne ruchy oburącz by znaleźć się na dnie i wybierać z niego wrzucone drobne monety.

Przy okazji – kolejny przesąd – nie można otwierać w wodzie oczu bo ... szczypie. Oczywiście, że dla nieprzyzwyczajonego uczucie wody oblewającej gałki oczne jest z początku dziwne, ale bez przesady – szybko mija i po chwili ktoś taki ze zdziwieniem konstatuje, że może otwierać pod wodą i oczy i ... nic złego się nie dzieje. Pewnie, że w masce czy goglach widać wyraźniej, ale na potrzeby zabaw plażowych taki sprzęt nie jest konieczny.

Podobnie jak z otwartymi ustami, kiedy nurkujący musi np. potrzymać w zębach nóż, czy inny element wyposażenia w czasie jakichś podwodnych zajęć (łowiliśmy też węgorze). Otworzyć pod wodą usta? Oczywiście, nie ma najmniejszego problemu.

Osobnym sportem było skakanie w czasie sztormu. No, najmądrzejsze to pewnie nie było, bo fala jest wtedy wkurzona na cały świat, porusza się jak teściowa z wałkiem w rękę po chałupie i lepiej nie wchodzić jej w drogę. Na dodatek takie skoki to czysty popis, bo o łowieniu monet nie ma nawet mowy – dno jest poruszone, piesek podnosi się na kilkadziesiąt centymetrów w górę i nie ma szans na znalezienie czegokolwiek.

Ale była to też i nauka. W którym momencie skoczyć wprost w nadbiegającą falę, by nie rzuciła człowiekiem o belki pomostu. Fala szła „do brzegu”, my skakaliśmy w kierunku dokładnie odwrotnym, groziła więc „cofka”, nad którą trudno byłoby zapanować. Ideałem był skok tuż „pod grzywkę” bo wówczas po wypłynięciu na powierzchnię człowiek znajdował się z tyłu fali, co było o wiele bezpieczniejsze i nie groziło uderzeniem o molo.

Dla wychowanych na tym brzegu chłopaków problemem były rzeki.

One zachowują się zupełnie inaczej, niż morze i inaczej, niż jeziora. Ze szczególną uwagą wszyscy śledzili zachowanie się wirów i zaczytywali się opowieściami ludzi, którzy spotkanie z nimi przetrwali.

Raz w życiu zdarzyło mi się takie spotkanie, bez szczególnych konsekwencji bo w porę zorientowałem się, że znajduję się na obrzeżu wielkiego koliska i spokojnie, powoli zdołałem się od niego oddalić. Gdybym nagle znalazł się w jego wnętrzu nie wiem co bym dał radę zrobić. To było w Kazimierzu Dolnym, ale po drugiej stronie Wisły dokąd łódki „pychówki” przewoziły chętnych do plażowania.

Z opisów ludzi, którzy uratowali się z łap wirów wynikało, że zachowywali się podobnie jak my na morzu – spokój przede

wszystkim. We wszystkich opisach powtarzało się jedno – najłatwiej ratować się przed wirem wciągającym wszystko dookoła nurkując możliwie najgłębiej i przebijać wir wodny w jego najcieńszym miejscu po czym oddalić się (jeszcze pod wodą) możliwie jak najdalej i dopiero wypływać na powierzchnię.

Wiśta wio! – łatwo powiedzieć – cytata z serialu „Dom”. Ale chyba rzeczywiście to najrozsądniejsze wyjście.

Problem tylko w tym, że w chwili niebezpieczeństwa nie zawsze towarzyszy nam rozsądek.

Oczywiście, te wszystkie rozmyślenia można potraktować jako wakacyjne głędzenie charakterystyczne dla sezonu ogórkowego (kiedyś Wańkowicz z braku tematów napisał słynny artykuł „Trzy zielone ptaszki” – kompletnie o niczym, ale za to interpretowany politycznie do bólu), ale te wspomnienia z młodości mogą być także podstawą do rozmyślań na temat naszych zachowań całkiem współczesnych. Być może mechanizmy wypracowane w czasie nadmorskich kąpiei dadzą się zastosować i w innych sytuacjach, kiedy zalewają nas fale takiego brudu, że na pierwszy rzut oka nie widzimy przed nimi ratunku.

Wiry też się zdarzają.

Często na oko widać, że walka z nimi jest beznadziejna. Może więc pozwolić im płynąć, co najwyżej od czasu do czasu robiąc jakiś ruch, który skieruje nas w pożądanym kierunku?

W końcu czy nie na tym polega egzystencja człowieka we wszechświecie? Przecież nikt nie walczy ze słońcem, deszczem, wiatrem, a stara się wykorzystać te zjawiska dla swojej korzyści.

Gdyby zjawiska społeczne potraktować podobnie jak te występujące w naturze?

Wiem, stoicyzm nie jest w modzie, szczególnie w naszym kraju.

Czas tu zdecydowania za szybko płynie.

Szczególnie dla plażowiczów.

Autorstwo: Jerzy Łukaszewski

Zdjęcie: Maurycy Hawranek

Źródło: [StudioOpinii.pl](http://StudioOpinii.pl)